

# Garczyński, Tadeusz

---

## Ze wspomnień dziennikarza

---

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 3/2, 145-154

---

1964

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

TADEUSZ GARCZYŃSKI

## ZE WSPOMNIEŃ DZIENNIKARZA

Posel PSL Piasta, inż. Marian Szydłowski, powziął myśl wydawania w Warszawie dziennika. Miał sporo pieniędzy, ulokowanych swego czasu w Szwajcarii. Był przekonany, że pismo, organ potężnego stronnictwa, musi się utrzymać. Nie bez tego, iż oddając dużą przysługę stronnictwu, umocniłby w nim swoją pozycję.

W 1925 roku ukazało się „Echo Warszawskie”.

Początek pracy przebiegał sprawnie. Sześciopokojowy lokal redakcyjny został wynajęty przy ul. Hortensji (Górskiego), co prawda na 4 piętrze, bez windy, lecz redaktorzy byli młodzi. Naczelnym został dr Władysław Włoch, do zespołu zaś należeli: J. Bernstein (spr. gosp.), Jacek Frühling, Wiesław Gawlikowski (sekr. red.), Paula Lamowa (rec. muzyczna), Leopold Marschak, Herminia Stycz-Naglerowa, T. Pągowski, Eugeniusz Swierczewski (rec. teatralna), Eugeniusz Szrojt (Sejm), Maria Zawadzka.

Pierwsze numery przyjęto z zaciekawieniem. Nie trwało długo. Szydłowski znał się na przemyśle, gorzej na ludziach. Wybrany przez niego naczelny uważał gazetę za znakomitą okazję do wypisania się, pisał przede z rozmachem artykuły wstępne, reszta go nie obchodziła. Artykuły nic nowego nie wносиły, natomiast w redakcji zabrakło kierunku. Zdolni dziennikarze „odrabiali” swoje kawałki, tworząc sobie a muzom, bez jakiegokolwiek myśli przewodniej.

Pierwotny nakład zaczął gwałtownie spadać. Chwycono się reklamy, urządzając konkurs i rozlosowując nieledwie co dzień złoty zegarek. Owszem, nakład wzrósł, nabywcy wycinali kupony, lecz nie przychodziło im na myśl, że gazetę się czyta. Skończył się konkurs, nakład zleciał na łeb, a wzrosła jedynie dziura w kasie.

Z pierwotnego funduszu pozostały nikłe resztki. Wtedy wydawca zdecydował się na cięcie zasadnicze, rozstał się z dr Włochem i zwrócił się do mnie z propozycją objęcia spadku. Zgodziłem się dość lekkomyślnie i dnia 1 grudnia 1925 r. zostałem naczelnym redaktorem „Echa Warszaw-

skiego”. Dopiero gdy zasiadłem w fotelu przy biurku i rozejrzałem się w sytuacji, przestraszyłem się. Była gorsza, niż myślałem. Zalegano już z wypłatą należności pracownikom, nakład znikomy, komorne za lokal nie zapłacone, koledzy redakcyjni zniechęceni do pracy. Trzeźwa ocena nakazywała likwidację.

Szydłowski bronił się, jak mógł, przed tą ostatecznością. Wszystkie znaki na politycznym niebie wskazywały prawdopodobieństwo utworzenia przez Witosa nowego gabinetu. Wtedy pismo mogło ocaleć. Byłe przetrwać! Szydłowski w pierwszym gabinecie Witosa piastował tekę ministra Przemysłu i Handlu. Dzięki temu posiadał rozgałęzione stosunki i po upadku gabinetu został delegatem Górnośląskiego Związku Górniczo-Hutniczego (którego katowicka Centrala urzędowała... w języku niemieckim). Od tego Związku otrzymał dla pisma subwencję. Dowiedziałem się o tym, gdy nieopatrznie zaatakowałem ów Związek. Wspomagał wydawnictwo również przemysł naftowy, lecz raczej sporadycznie. Powstawała w ten sposób sytuacja paradoksalna: dziennik stronnictwa ludowego ze zobowiązaniami w stosunku do przemysłu. Dodajmy do tego, że skromne subwencje nie wystarczały, zapadały raz po raz terminy wekslowe, komornik stał się częstym gościem i w mieszkaniu wydawcy, i w Redakcji.

Położenie niewesołe — obok normalnej pracy redakcyjnej musiałem wysłuchiwać skarg. Przychodzili do mnie koledzy z prośbą o bodaj parozłotową wypłatę. Rozumiałem ich, bo ja też nie otrzymywałem należnych mi poborów. Wzywałem wtedy kierownika administracji, Skowrońskiego. Przychodził do mnie z rachunkami, z których wynikało, że nie ma pieniędzy ani na papier, ani na drukarnię — jeżeli coś wypłaci redaktorom, „jutro” pismo się nie ukaże. Przepraszałem więc kolegów i prosiłem o cierpliwość.

Próbowałem robić oszczędności. Rozstałem się z p. Paulą Lamową — żoną zamożnego wydawcy, nie zrobiłem jej krzywdy, pożegnałem też p. Stycz-Naglerową, żonę płk. Naglera. Zmniejszyło to ciężar długów, nie zwiększyło dochodów. Ogłoszenia napływały jak na lekarstwo, i to o charakterze subwencyjnym. Gra na zwłokę trwała.

W związku z sytuacją polityczną w mieście wrzało. Poszło zawołanie o powstaniu sojuszu Chieno-Piasta, ultrareakcyjnego. Wtedy, aby się odciąć od tych poszeptów po pierwszym maju 1926 r., napisałem artykuł o dziwnym zjawisku: oto od paru lat jesteśmy świadkami manifestacji pierwszomajowej połączonej z zaburzeniami. Następnego dnia prasa donosi zgodnym chórem, iż komuniści sprowokowali zajścia. Dziwna to prowokacja — stwierdziłem — bo zabici i ranni są tylko po stronie komunistów.

W dwa dni po tym artykule witałem w redakcji dwóch przedstawicieli

czasopisma „Promień” uchodzącego za komunistyczne. Jednym z nich był red. Mieczysław Birnbaum. Przyszli, by podziękować za zajęte stanowisko. Rozmowa upłynęła na wymianie wzajemnych uprzejmości.

Tymczasem zbliżała się chwila rozstrzygnięć. Orientowałem się w tym dość dobrze. Mieszkałem wtedy z posłem Jedynakiem, częstym gościem u nas bywał płk Bronisław Pieracki, kolega Jedynaka z Legionów. On sygnalizował nam o wzburzeniu po tamtej stronie. Sejm ze swymi kombinacjami jakby zawisł w powietrzu, wojsko stawało się realną siłą polityczną. Wojsko, czytaj Piłsudski. Kierownicy stronnictw wierzyli, że wszystko rozegra się w drodze zwykłych przetargów parlamentarnych — łudzili się.

Obóz legionowy podczas poprzednich wyborów nie zdołał przeprowadzić ani jednego posła pod własną firmą, niemniej jednak reprezentował duże wpływy.

W jego ręku spoczywało dowództwo wojskowe.

Z okresu rewolucji 1904 r. posiadał bardzo licznych przyjaciół w sferach liberalnej inteligencji.

Zlekceważenie tych faktów stało się przyczyną przewrotu majowego.

Najcharakterystyczniejszą cechą przewrotu było obalenie siłą nowo utworzonego rządu Witosa, bez jakiegokolwiek własnego programu. PPS wspomagająca zdecydowanie obóz legionowy wiedziała, do czego dąży, liberałowie mieli jakieś mętne wyobrażenia o przyszłości, ale legioniści, na których przede wszystkim opierał się Piłsudski, wierzyli swemu wodzowi i na tym koniec.

Nic dziwnego, że po zamachu sytuacja nadal wyglądała zagadkowo. „Robotnik” nawoływał do szybkich porachunków z wszelką nieprawością, a marszałek Sejmu Rataj tworzył rząd jakby o cechach kompromisowych. Prezydent Stanisław Wojciechowski ustąpił, ale pozory legalizmu zostały zachowane, jego następca miał zostać wybrany w drodze normalnej.

*Nie rozumiemy* brzmiał tytuł artykułu wstępnego w „Echu Warszawskim”, przedrukowanego w całości w „Zielonym Sztandarze”, redagowanym przez marszałka Rataja. Tytuł odpowiadał chwili, lecz jak tu robić program rewolucyjny, gdy wśród koni ciągnących rydwan zamachu każdy zmierzał w inną stronę.

To jedno stało się wyraźne tak dalece, iż pozwoliłem sobie przepowiedzieć „Robotnikowi” przejście PPS do opozycji.

Znane to dzieje, powróćmy przeto do historii „Echa Warszawskiego”. Upadek rządu Witosa przekreślił wszystkie nadzieje, przyszedł kres na prowadzone przeze mnie pismo. Chodziło mi jedynie o to, aby zejść z areny demonstracyjnie, lepiej być ofiarą prześladowania niż nieudolności.

Uderzyłem w ton najmocniejszy.

W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zaczęły się rugie. Ofiarami byli w pierwszym rządzie biurokratyczni urzędnicy galicyjscy. Znałem stosunki w tym Ministerstwie na wylot (w mojej karierze sprawowałem kiedyś stanowisko sekretarza naprzód wicemin. Józefa Becka (ojca), później ministra Stanisława Wojciechowskiego). Galicjanie odznaczyli się przede wszystkim lojalnością w stosunku do każdej władzy. Usuwanie ich i obsadzanie urzędów ludźmi nie wiedzącymi nawet, co to jest ustawa, oznaczało psucie sprawnie pracującego aparatu.

Napisałem artykuł o tym Ministerstwie pt. *Dom wariatów*.

Numer został skonfiskowany, a aktualny minister, generał Młodzianowski, zatelefonował do mnie uprzejmie, że nie on, lecz prokurator wystąpił o obrazę władzy.

Dość szybko nastąpił proces. Zostałem skazany na pół roku więzienia, za okoliczność obciążającą uznano moją propozycję przeprowadzenia dowodu prawdy.

Wspomniana konfiskata rozpoczęła większą ich serię — od grudnia osiągnąłem ok. 30. W tym krótkim okresie „Echo” liczyło się na widnokręgu prasowym, od czasu do czasu zdarzały się przedruki.

Nawet na horyzoncie finansowym zdarzył się błysk jaśniejszy. Któregoś dnia zjawił się u mnie pełnomocnik grupy wydawców „Kuriera Polskiego”, Bohdan Gędziorowski. Powiedział mi, że cały zespół redakcyjny tego pisma opuścił swe wydawnictwo pozostawiając puste biurka. Secesjoniści postanowili wydawać „Nowy Kurier Polski”, mają już lokal i pozwolenie. Prosił mnie o ratunek.

Zadzwoiłem do Szydłowskiego z zapytaniem, czy się zgadza — owszem, nie ma nic przeciw temu. Następnie zażądałem od Gędziorowskiego wypłacenia tegoż dnia wszystkich należności staremu zespołowi „Kuriera Polskiego”. Warunek został przyjęty. Z kolei rozmówiłem się z kolegami z „Kuriera” w osobach red. Witolda Giełżyńskiego i Józefa Wasowskiego. Konferencja odbyła się w mieszkaniu red. Wasowskiego przy Okólniku. Gdy zawiadomiłem ich, że kasjer już zaczął wypłatę należnych poborów, oświadczyli, że nic nie mają przeciwko mej próbie ocalenia starego „Kuriera”. Odniosłem wrażenie, iż nie wierzą, bym podołał zadaniu.

Po tych wstępnych krokach przystąpiłem do roboty. Z „Echa Warszawskiego” przenieśliem za ich zgodą do „Kuriera Polskiego” redaktorów Jacka Frühlinga i Leopolda Marschaka. Serwis PATA miałem w „Echu”. Trzeba było tylko zapłacić stare długi, by Agencja nie zgłosiła pretensji. Znalazł się w szufladzie stary felieton, napisałem artykuł i „Kurier” ukazał się bez jakiegokolwiek przerwy. W „Przeglądzie Wieczornym” red. Nowicki ocenił to jako rekord: W ciągu 24 godzin właściwie powstały dwa pisma.

W rezultacie przez kilka dni pełniłem obowiązki naczelnego redaktora

w obydwu wydawnictwach. Nie mogło to trwać długo. Właśnie zastanawiałem się, co robić, kiedy woźny zameldował mi przyjście min. Bertonięgo, jednego z wyższych urzędników MSZ. Przyjąłem go niezwłocznie i nie bez zdziwienia usłyszałem propozycję opuszczenia posterunku w „Kurierzach” w zamian za pomoc dla „Echa”.

Nie chciałem rozmawiać o pieniądzach. W tej całej rozgrywce ani chwili nie myślałem o osobistym interesie, toteż skierowałem go do Szydłowskiego. Po dwóch godzinach dowiedziałem się o wyniku: ustalili, że wycofam się z „Kuriera”, „Echo” zaś otrzyma miesięczną subwencję w wysokości zł 10 000. Oczywiście zawiadomiłem niezwłocznie Gędzirowskiego, iż jego grupa musi znaleźć szybko innego naczelnego. Został nim profesor uniwersytetu Zygmunt Łempicki. Podkładem całej historii była niechęć MSZ do wydawców „Kuriera”, składających się z przemysłowców uzależnionych od kapitału francuskiego. Podejrzewano ich też o kontakty z generałem Władysławem Sikorskim.

Tak czy inaczej powstał paradoks, zdecydowane pismo opozycyjne otrzymało pomoc ze strony rządu. Zaznaczam, że nie usłyszałem żadnych postulatów pod moim adresem. Ani na jotę nie zmieniłem kierunku. Według mojej oceny pismo i tak nie mogło się utrzymać.

Konfiskaty sypały się w dalszym ciągu. Zarabiała na tym kioski. Gdy policja zbierała zakazane egzemplarze, znajdowała jeden lub dwa co najwyżej, zachowane zaś sprzedawano ukradkiem, niestety na własny rachunek.

Zbliżał się koniec. Zespół redakcyjny zmałał. Bezpośrednio po przewrocie odszedł Eugeniusz Szrojt do obozu przeciwnika — „zawsze ciągnęło mnie tam serce” — mówił. Luki powstałe w redakcji zapełniali „bezprzydziałowi”. Zgłosił się Mieczysław Birnbaum. Ideowo nic go nie łączyło z ludowcami, lecz po likwidacji „Promienia” osiadł na łodzie. Nie owijałem prawdy w bawełnę, powiedziałem mu wyraźnie, że „Echo” dogorywa. Nie gwarantowałem wypłaty należnych poborów. Zgodził się. Był idealnym sekretarzem redakcji przez dwa miesiące, po czym znalazł inny punkt zaczepienia. Z kolei zastąpił go Marian Taylor na podobnych „warunkach”.

Warto wspomnieć jeszcze historię opowiedzianą mi przez Birnbauma. Uważał siebie za założyciela „Głosu Prawdy”, organu legionistów. Podczas rokowań w Rydze został tam wysłany, gdyż liczone na jego osobiste znajomości z niektórymi przywódcami radzieckimi. Niewiele zdołał, ale kiedy powrócił do kraju, zastał drzwi do redakcji zamknięte; „Głos Prawdy” objął Stpiczyński, nie zamierzając się z nikim dzielić władzą. Później, po przejściu przez „Echo”, doszedł do porozumienia z dawnymi kolegami, lecz do pracy dziennikarskiej już nie powrócił — Stpiczyński zatarasował mu drogę.

Podobnie jak wymienieni, inni koledzy redakcyjni również szukali nowego punktu zaczepienia. Bernstein-Zabęski ulokował się w „Rzemiośle”, Taylor w Wydawnictwach Arcta. Pomagałem w tym, jak mogłem.

Ostatnim ciosem, który ugodził „Echo”, były nadużycia w administracji. Skowroński, zaufany Szydłowskiego, potrafił urwać coś z chudej fary, wykazując w tym dużą pomysłowość. Zniechęcony tym ostatecznie rozmówiłem się z mym wydawcą. Uzgodniliśmy, że nie ma sensu przewlekać konania. Akurat w rocznicę objęcia pisma, dnia 1 grudnia 1926 r., napisałem artykuł pożegnalny: byłem o tyle zadowolony, że upadek nastąpił w walce.

W bilansie tego roku mogłem zanotować: przyjaźń z min. Szydłowskim do schyłku jego życia, należności nie do odebrania z pustej kasy i artykuł ogłoszony przeze mnie w „Gazecie Handlowej” pt. *O stu sposobach zerwania licytacji*. Komornik tak często odwiedzał „Echo” i ogłaszał licytację za długi pisma, iż materiału do napisania artykułu miałem dosyć.

### Lata konspiracji

Po którymś z rzędu nudnym zebraniu zwrócił się do mnie około października 1940 r. kpt. Jan Włodarkiewicz z propozycją objęcia redakcji „Żołnierza Polskiego”, wydawnictwa KOP-u.

Zgodziłem się z radością. W skład komitetu redakcyjnego wchodził: Włodarkiewicz, Gołędzinowski, adw. Rościszewski, Remigiusz Grocholski i inżynier, którego nazwiska nie mogłem sprawdzić. Z wymienionych Włodarkiewicz aresztowany przez Gestapo we Lwowie zginął bez wieści, ten sam los spotkał Rościszewskiego. Gołędzinowski jako kpt. Golski w czasie powstania warszawskiego kierował obroną na odcinku Politechniki — przebywa na emigracji. Grocholski i ja po wojnie spotkaliśmy się w Warszawie.

Układ pisma zdecydowałem prosty. Okolicznościowy artykuł wstępny, felieton, instrukcja dla żołnierzy i na zakończenie przegląd wydarzeń na frontach. Udało mi się zdobyć znakomitych współpracowników.

— Niech pan coś dla mnie napisze — prosiłem Stanisława Kętrzyńskiego.

— Ale co, panie Tadeuszu? — zafrasował się profesor.

— Niech pan pomyśli, jak to świetnie będzie wyglądać kiedyś w pańskiej bibliografii — kuśiłem go.

I napisał. Dostałem też felietony od prof. prof. Stanisława Sawickiego, Jana Jaworskiego, Zygmunta Łempickiego i innych.

Oczywiście ta praca redakcyjna różniła się poważnie od normalnej. Nigdy nie byłem w drukarni i nie wiedziałem, gdzie się pismo dru-

kuje. Otrzymywane artykuły adiustowałem, wszystkie teksty obliczałem bardzo starannie, tak by przy łamaniu numeru nie powstały żadne wątpliwości. Najwięcej kłopotu sprawiały mi rysunki techniczne — wybrnąłem z tego, prosząc autorów o wykonywanie ich od razu w rozmiarach przyszłego druku.

Gdy numer był gotowy, zbierał się Komitet Redakcyjny i odczytywał całość. Na ogół rzadko zdarzały się jakieś zastrzeżenia. W założeniu swym „Żołnierz Polski” był przeznaczony dla walczących szeregów, stąd też wszelkie spory polityczne nie miały odbicia na jego łamach. Artykuł wstępny był poświęcony raczej problemom wychowawczym, a zważywszy bardzo ciężkie chwile, kiedy nieraz zwątpienie wkrada się w serca, dążył do utrwalenia w ludziach wiary i energii. Felieton podzartowywał sobie z pychy niemieckiej — przypominam sobie jeden, w którym prof. Stanisław Sawicki dowodził, że nawet mitologię z Wotanem na czele Niemcy ukradli.

Stroną instruktazu wojskowego zajmował się Gołędzinowski, do mnie zaś należał jeszcze kończący numer przegląd sytuacyjny. Robiłem go na podstawie nasłuchu. Rozporządzałem trzema źródłami, gdyż często jedno lub drugie zawodziło. Przegląd był wiernym odbiciem sytuacji, jedynie komentarz do niego zawierał te nuty optymizmu, na które czasem trudno było się zdobyć.

Nie bawiliśmy się w korektę, rewizję i podpisywanie do druku, lecz muszę oddać hołd nieznanym mi zecerom — pomyłek druku prawie nie było. Po zbiorowym odczytaniu tekstów całość materiałów z podyktowanym układem zabierał Gołędzinowski. Mijało kilka dni, zanim otrzymałem wydrukowany numer. Za każdym razem z dużym wzruszeniem patrzyłem na wyniki naszej pracy. Tych 16 stron małego książkowego formatu zawierało w sobie więcej, niż da się powiedzieć.

Praca redakcyjna wiązała się z koniecznością informacji. Od Bryi otrzymywałem paczki prasy ludowej, Włodarkiewicz przekazywał mi wydawnictwa Delegatury, Rościszewski przynosił wydawaną przez siebie „Pobudkę”.

Ilość tych druków była niepokojąco duża. Nie mogłem ich przechowywać w domu, a nie chciałem niszczyć. Znakomity bibliotekarz prof. Kazimierz Piekarski poradził, bym poszedł do Biblioteki Krasińskich, wskazując, do kogo mam się zwrócić. Odtąd systematycznie co kilka dni odnosiłem tam sporą ilość tajnych druków.

Bywały też inne zajęcia. Z ramienia redakcji stawiałem się kiedyś z Włodarkiewiczem na dziwnym zebraniu.

Przyjechał z Londynu p. Maksymowicz (spotkałem go później w obozie Gross-Rosen jako Radkiewicza). Aby zorientować się w sytuacji, postanowił porozmawiać z przedstawicielami różnych ugrupowań.



W jakiejś bursie przy ul. Widok wraz z Włodarkiewiczem usiedliśmy trochę na uboczu, słuchając rozmów. Przed naszymi oczami przewinał się wcale okazały korowód. Tenor wszystkich przemówień był jeden. „Stare organizacje polityczne — wywodzili różni młodzi ludzie — właściwie nie istnieją. My reprezentujemy naród”.

Słuchając tego dochodziłem do wniosku, że dynamika społeczeństwa nie podlega wątpliwości, lecz brak jest jakiejś kierowniczej myśli przewodniej. Do tego samego wniosku dochodzili wszyscy, dzięki czemu rozpoczął się wyraźny ruch scaleniowy. Chwila była ostatnia, bo amatorszczyzna spisków powodowała duże, niepotrzebne straty — każdy dzień przynosił wiadomości o aresztowanych. Nieostrożność graniczyła z lekko-myślnością; kiedyś z przerażeniem obliczyłem, że znam ok. 25 adresów konspiracyjnych. Staralem się wiedzieć jak najmniej, tylko to, co jest potrzebne, lecz bezskutecznie, młodzi konspiratorzy opowiadali na prawo i lewo o swych poczynaniach. Dopiero straty nauczyły ludzi, że trzeba kierować się pewnymi zasadami.

Zgodnie z nową linią działania powstało ZWZ (Związek Walki Zbrojnej). Otrzymaliśmy wezwanie do porozumienia się z Sędzią, tak nazywał się wówczas płk Rzepecki. Przyjął mnie i Włodarkiewicza w biurze domu przewozowego przy ul. Żulińskiego. Rozmowa trwała krótko, podporządkowaliśmy się rozkazom.

— Jak wyglądają wasze uposażenia?

Pytanie zaskoczyło nas. — Wcale nie wyglądają — odpowiedzieliśmy. I tak zostało.

Nie koniec na tym. „Żołnierz Polski”, który redagowałem, był wydawnictwem KOP-u, lecz jednocześnie wychodził inny „Żołnierz Polski”, organ ZWZ. Narzucała się konieczność zjednoczenia.

Dostałem rozkaz stawienia się w mieszkaniu dr Choróbskiego przy ul. Czerwonego Krzyża. Poszedłem tam z adw. Rościszewskim. W przedpokoju powitała mnie moja znajoma Irena Pronaszkowa (pseud. Michasia), urocza kobieta, dzielny człowiek, żona znanego malarza Andrzeja Pronaszki. „Tadeusz! — powiedziała — nie myślałam, że Ciebie tu spotkam”. Uśmiechnąłem się: „Mnie też nie przyszło do głowy, że Ciebie tu zobaczę”.

Zgodnie z otrzymanym poleceniem po kilku dniach poszedłem do nowej redakcji. Wdrapałem się na czwarte piętro domu przy ul. Hortensja nr 1. Nacisnąłem guzik dzwonka przy drzwiach, na których figurowało nazwisko właściciela mieszkania: Kulesza. Otworzył mi starszy jegomość prosząc mnie o wejście do jadalni. Tam czekało już ok. 7—8 osób na kolejne przyjęcie przez redaktora.

Ach, ta konspiracja!

Gdy z pominięciem kolejności zostałem przyjęty, okazało się, że redaktora znam. Był nim ppłk Jacheć. Znajomość bardzo pobieżna, ja

w okresie młodości przed pierwszą wojną światową byłem rekordzistą, chlubą lwowskiego klubu sportowego „Pogoń”, on w tym czasie zdobywał laury jako filar obrony pierwszej drużyny piłkarskiej „Cracovii”.

Porozumieliśmy się szybko. „Redagowanie w dwójkę niewielkiego pisma jest fikcją — oświadczyłem — nie widzę tu miejsca dla siebie, lecz o ile w czymkolwiek mogę się przydać, stoję zawsze do rozporządzenia”. Jacheć zgodził się z tym stanowiskiem.

Zawiadomiłem o rozmowie Rzepeckiego, z którym miałem sposobność porozmawiać dłużej w mieszkaniu Pronaszków. Podzieliłem się z nim dotychczasowymi wrażeniami, od niego też się trochę dowiedziałem. Doszedłem do wniosku, że kończy się pierwszy, improwizowany rozdział pracy podziemnej, że zaczyna się okres racjonalnej pracy. Wyczuwało się to wszędzie, każdy stawał do roboty zgodnej z charakterem i możliwościami. Tak np. w mieszkaniu b. min. Przemysłu i Handlu, Antoniego Olszewskiego, uczestniczyłem w zebraniu ludzi pochodzących z różnych instytucji gospodarczych. Dzielili pomiędzy siebie zadania opracowań dotyczących aktualnej organizacji przemysłu i handlu, kierunków produkcji, organizacji pracy, prześladowania ludności żydowskiej, werbunku do przedsiębiorstw niemieckich itp. Miało to cechę wywiadu polityczno-gospodarczego.

Notowałem w pamięci owe dodatnie zjawiska, lecz osobiście byłem trochę wykolejony — zawisłem w próżni. Nie na długo. Któregoś dnia na początku 1942 r. otrzymałem wezwanie Rzepeckiego, mieliśmy się stawić u płk. Grota.

Deszcz lał jak z cebra, miejsce spotkania na przystanku tramwajowym! Solidnie przemoczeni dojechaliśmy do Placu Narutowicza i weszliśmy do narożnego domu przy ul. Grójeckiej. Grot zjawił się trochę później. Rozmawialiśmy prawie pół godziny, interesowało go zagadnienie ukraińskie w Polsce i moje zapatrywania na problem przyszłych granic. Widocznie moje poglądy trafiły mu do przekonania, gdyż otrzymałem do opracowania memoriał o zagadnieniu ukraińskim oraz koreferat w sprawie granic. Polecenia te wykonałem, przy czym w opracowaniu problemu granic pomagał mi docent uniwersytetu, geograf Stanisław Gorzuchowski.

Na tym właściwie skończył się mój udział w pracach konspiracyjnych. Dnia 8 lipca 1942 r. zostałem aresztowany. Sypnął mnie Virtus, łącznik, skierowany do mego domu jeszcze w okresie niemowlęcym podziemia. Nie znałem go prawie — wpadł w związek z aresztowaniami w fabryce Ledóchowskiego, nie mającymi żadnego związku z tym, co ja robiłem. Spotkałem go później na Pawiaku, tłumaczył się, że nie wytrzymał tortury.

Po uwięzieniu i po śledztwie dnia 17 stycznia 1943 r. zostałem wysłany do obozu na Majdanku. Tam spotkałem dwóch kolegów-dziennikarzy, Hieronima Wierzyńskiego i Wiskowskiego. Obydwaj umarli z wycieńczenia w lutym lub marcu. W kwietniu zmarł na dyzenterię jeden z wydawców „Kuriera Warszawskiego”, Michał Sobański. Śmierć zbierała obfite plony.

W połowie 1944 r. z liczną grupą więźniów zostałem wysłany do obozu w Gross-Rosen. Tam spotkałem się z korespondentem „Kuriera Warszawskiego” ... Rostworowskim. Został schwytany, gdy z kraju przez Niemcy jechał do Londynu. Nie było mnie już w tym obozie, gdy wraz z Krzysztofem Radziwiłłem dostał się do kompanii karnej. Radziwiłł wyszedł tylko ze złamaną nogą, Rostworowski zginął.

Ostatnim etapem moich obozowych wędrówek był obóz w Litomierzycach. Zbliżał się koniec wojny. Pryskała dyscyplina.

Dnia 8 maja 1945 r. obóz w Litomierzycach został rozwiązany. Wróciłem do kraju.